NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“)

PISMO SPOŁECZNO - POLITYCZNE I OŚWIATOWE.

Rocznik II (XXXIII). — Rok 1926. — Nr. 4.

Adres redakcyi: **Kraków, ul. Powiśle l. 12.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE.

Kalendarzy żadnych na składzie **nie mamy**, ani ich nie sprzedajemy.

Życzliwych nam Czytelników

prosimy o rozszerzanie „NOWEJ ZORZY" między znajomymi i zachęcanie ich, aby sobie to pismo zaprenumerowali.

Kto dziś rozszerza i wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Kogo tedy stać, i kto pragnie nam dopomódz, niechaj oprócz prenumeraty nadeśle jaki DATEK na „fundusz wydawniczy" dla „Nowej Zorzy" gdyż samą prenumeratą nie można dziś pokryć kosztów wydawnictwa, a my będziemy za tę pomoc bardzo wdzięczni.

Szan. Czytelników w Ameryce

prosimy, aby prenumeratę posyłali albo w listach, ale poleconych (rejestrowanych) i dobrze zalepionych, albo przekazem pocztowym; w tym drugim jednak wypadku, należy osobno na kartce przysłać swój dokładny adres, bo poczty amerykańskie bardzo przekręcają na przekazach adresy nadawców i niedokładnie je podają.

Rocznik II. (XXXIII) Kraków, 1 Kwietnia 1926. Nr. 4.

NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK")

PISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE I OŚWIATOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-GO.

NOWA ZORZA kosztuje w przedpłacie na rok: **5** zł. — półrocznie: **2** zł. **50** gr. — Do Ameryki na rok: **1** dolar.

Adres: Redakcya „Nowej Zorzy" (lub Ks. M. Dziurzyński) w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Kogo nasz lud słucha — a za kim iść winien?

»Wiadomo doskonale — pisał niedawno »Piast« — kto rozbija jedność ludową, że czyni to Bryl, Cieplak, Dąbski, Pluta, Pawłowski, Stapiński, a przecież są tacy, co ich słuchają i oklaskują i nie zastanawiają się po czyjej stronie słuszność, czy »Piast« ma rację, czy »Wyzwolenie«, czy wreszcie »Stronnictwo chłopskie«.

Niema takiego głupca, pyskacza, drania, któregoby w tej czy owej wsi nie oklaskiwano, zamiast przepędzić jak wściekłego psa.

Czyż można się dziwić, że taki bandyta polityczny, widząc, że mu jego sprawki uchodzą bezkarnie, a nawet znajdują uznanie, kpi sobie ze społeczeństwa, ze Sejmu, urąga uczciwości, zasłudze pracy obywatelskiej?«

Więc »Piast« przyznaje, że d r a n i e i p y s k a c z e zyskują poklaski po wsiach i że lud ich chętnie słucha.

Bolesna to prawda, ale prawda. Pocieszającem jest to tylko, że większa część ludu odwraca się od tych »draniów i pyskaczy«, idą zaś za nimi tylko ludzie, co ani w sercu wiary ani w mózgu rozumu nie mają, bo istotnie trzeba być człowiekiem umysłu bardzo ograniczonego, lub moralnie na wskróś zepsutym, by dawać posłuch różnym Brylom, Dąbskim, Plutom i Stapińskim, których poseł Witos trafnie nazwał: »gośćmi z chlewu«.

Czy jednak stronnictwo »Piasta«, którem kieruje p. Witos lepsze jest od gości z chlewu?« Program urzędowy »Piasta«, jak pisze »Lud katolicki«, zasadniczo złym nie jest, gdy jednak chodzi o rzetelność i uczciwość w jego czynach, to »Piast« stale zawodzi. A przedewszystkiem nieuczciwe są drogi, jakiemi zdobywa pieniądze z funduszów państwowych na pokrywanie swych wydatków partyjnych. Na zewnątrz »Piast« jest stronnictwem czysto i pięknie wybielonem, wewnątrz jednak kryje w sobie wszelakie plugastwo.

Odnośnie zaś do religji i Kościoła, to, jak zaznacza lwowska »Gazeta kościelna (nr. 14 z r. bież.), brak stronnictwu »Piasta« podkładu moralnego, a chociaż samo przyznaje, że »masy ludu polskiego są głęboko religijne«, i że masy te doceniają w pełni znaczenie religji w »życiu prywatnem, społecznem i państwowem«, to jednak w praktyce widzimy u »Piasta« co innego.

W głosowaniu nad »Konstytucją« szli Piastowcy w Sejmie razem z socjalistami, głosowali przeciw szkole wyznaniowej (czysto katolickiej) i przez dłuższy czas ich organ »Piast« uprawiał nagonkę na duchowieństwo, dlatego i wobec »Piasta« lud polski powinien zachować pełną rezerwę, czyli nie łączyć się z nim.

Ludowi pozostaje jedno tylko do wyboru, to jest zjednoczyć się pod sztandarem uczciwego stronnictwa, a jest niem: »Stronnictwo katolicko-ludowe«, którego organem jest wychodzący w Krakowie »Lud katolicki«.

Nowy Apostoł prasy.

Ilekroć Papieże lub biskupi mówią o ważności prasy, czyli czasopism, zawsze przytaczają świętego Pawła Apostoła i mówią, że gdyby dziś żył św. Paweł, toby z pewnością swoje nauki szerzył przez pisma, przez prasę.

Takie przypuszczenie, a raczej twierdzenie opierają biskupi i Papieże na tym fakcie, że św. Paweł szerzył naukę

chrześcijańską nietylko ustnie, ale i przez listy swoje, które były przytem jakby gazetami, bo w nich oprócz nauki podawał św. Paweł różne zdarzenia z chwili ówczesnej, które miały miejsce w gminach chrześcijańskic . Z tego więc powodu uważa się Pawła świętego za pierwszego »Apostoła prasy«. Tę zaszczytną nazwę oddaje dziś Kościół każdemu biskupowi czy kapłanowi, który popiera i rozszerza dobre pisma.

Do najnowszych Apostołów prasy zaliczył obecny Ojciec św. Pius XI arcybiskupa wyspy Kuby, księdza Antoniego Clarest'a, którego beatyfikacja, czyli zaliczenie w poczet »Błogosławionych« odbyło się w święto Trzech Króli roku bieżącego.

W dekrecie beatyfikacyjnym poświęcił Ojciec święty dużo miejsca znaczeniu pism katolickich, podkreślił doniosłe ich posłannictwo i niemniej obowiązek katolików gorliwego popierania prasy.

Między innemi dowodzeniami, zaznaczył Ojciec święty, że prasa katolicka jest w czasach dzisiejszych jednym z najpotężniejszych środków krzewienia i obrony wiary chrześćijańskiej. Prasa katolicka zwiastuje »dobrą nowinę« i niesie prawdziwe światło nauki w najszersze warstwy społeczeństwa, nawet w te jego odłamy, które odsunęły się od wpływu ambony. Jest ona gwiazdą przewodnią i słupem ognistym dla szerokich mas wędrujących wśród zwodniczych ścieżek życia współczesnej doby.

Jako wzór kapłana, który należycie umiał użyć prasy w działalności duszpasterskiej wskazuje Ojciec św. na błogosławionego arcypasterza z Santiago na Kubie, na arcybiskupa Antoniego Clarest'a, który przy pomocy prasy katolickiej doprowadził do wspaniałego rozkwitu chrześcijaństwo na tej wyspie. Błogosławiony Antoni Clarest rozsyłał rokrocznie za pośrednictwem duchowieństwa setki tysięcy i broszur treści religijnej między mieszkańców Kuby. Ponadto w drukarni diecezjalnej wychodziło kilka czasopism dla ludu i dla inteligencji, a we wszystkich parafjach kazał świątobliwy arcypasterz tworzyć organizacje złożone z duchowieństwa i inteligencji miejscowej, które miały za zadanie popieranie i rozszerzanie dobrej prasy.

Tak pracował dla prasy arcypasterz z Santiago!

A jak jest u nas w Polsce? Dużoby o tej sprawie można pisać. Wystarczy powtórzyć to, o czem nieraz nad-

mienialiśmy, że chociaż pracujemy w duchu katolickim lat przeszło 30, ze strony sfer duchownych, którym przecież w pierwszym rzędzie zależeć powinno na popieraniu i rozszerzaniu prasy, nikt się nas dotąd nie spytał, czy my mamy jakie fundusze na wydawnictwo, a poparcie ze strony duchowieństwa jest prawie żadne. Przeciwnie, ten i ów z pośród księży, zwracając nam przesłany mu na okaz mumer naszego pisma, dopisał na opasce: »proszę się mi nie narzucać!« lub: »nie mam pieniędzy na czyjeś głupstwa!« itd. I jak tu w takich warunkach pracować?!

Z bolszewickiego piekła.

Warszawskiemu dziennikarzowi p. Władysławowi Rabskiemu, opowiadało dwóch Polaków, którzy niedawno powrócili z Moskwy, że Rosja sowiecka posiada wprawdzie 20 do 30 tysięcy czerwonogwardzistów w armji, ale na większość tej armji sowiety wcale liczyć nie mogą — i prawdopodobnem jest, że w razie wojny z Polską i marszu na Warszawę, armja ta rozsypałaby się w połowie drogi.

Rosję, — mówili dalej owi dwaj Polacy, toczy rak, z którym wprawdzie można żyć długo, ale który wkońcu rozgryzie człowieka.

Rodzina przestała tam istnieć, a jej miejsce zajęła wolna miłość. Szkoła bolszewicka rozmyślnie rodzinę rozbija i buntuje dzieci przeciw rodzicom. W szkole dzieciom zadawane bywają pytania naprzykład: »Jak dzieci powinny kształcić swych ojców i matki?«

Co gorsze, wobec zupełnej swobody chłopców w stosunku do ich koleżanek dziewcząt, dużo dzieci jest »chorych«, a liczba małoletnich 12—14 letnich matek jest przerażająca.

Wzrasta też ogromnie liczba bezdomnych dzieci, ktore w strzępach łachmanów kryją się jak dzikie zwierzęta, w lecie po kanałach, a w zimie po piwnicach i zwaliskach domów i żyją z rozbojów, kradzieży i jałmużny. Liczba za-

pisanych urzędowo takich dzieci dochodzi już do 650 tysięcy.

Ciężka jest także dola robotników w sowieckim raju. Do 1 marca b. r naliczono ich już 1 miljon 300 tysięcy, czyli 3 razy tyle, co w Polsce.

Zapomogi udzielane bezrobotnym wynoszą po 50 kopiejek (1 zł. 80 gr.) tygodniowo i to w zależności od ilości osób w rodzinie. Organizacje społeczne wydają tylko porcję chleba, i to tylko małoletnim dzieciom.

Bezrobotni występują coraz natarczywiej wobec władz sowieckich i gdyby nie składki na nich pracujących robotników, to rozruchy głodowe byłyby już dawno wybuchły.

Prawdziwy jednak obraz bolszewickiego raju dają teraźniejsze szpitale w Rosji.

Pewien lekarz, któremu udało się okrężną drogą wysłać list do Europy, tak w nim opisuje los chorych w szpitalach rosyjskich. Życie tych biedaków nazywa on »bezbrzeżnem morzem ludzkich cierpień«.

I tak: w pewnem powiatowem miasteczku dobry i obszerny z czasów carskich budynek szpitalny zabrał rząd sowiecki na pomieszczenie urzędu sowieckiego, szpital zaś umieszczono w starym śpichrzu do połowy bez dachu i pieców.

Chorzy, jak wszędzie w Rosji, i tu żyją tylko z jałmużny. Lekarz i służba szpitalna od 3 lat nie otrzymują pensji, a miejscowy sowiet naigrawa się z nich, twierdząc, że mu są całkiem niepotrzebni. Przewodniczącym sowietu w owem miasteczku jest dawny kryminalny zbrodniarz, który nienawidzi inteligentów, a do lekarzy czuje nieprzepartą antypatję.

Wszystkie szpitale prowincjonalne pozbawione są całkowicie lekarstw i zdane są na własne pomysły aptekarskie. I tak w jednym ze szpitali wszystkie choroby leczone są jednem, nieszkodliwem zresztą lekarstwem, mianowicie odwarem z suszonych dzikich malin, zamiast jodu używają esencji octowej.

Niema też bandaży, a rany przemywają wszędzie czterdziestoprocentową wódką i zawija się je staremi szmatami.

Brud w szpitalach nie do opisania. Chorzy leżą na łóżkach bez prześcieradeł, większość zaś nie ma nawet łóżek i leży na ziemi, w korytarzach, nawet w kuchni.

Żywności tak chorym, jako i lekarzom i służbie szpi-

talnej dostarczają krewni tych chorych, którzy w danej chwili znajdują się w szpitalu. Lekarze więc rozmyślnie przeciągają leczenie chorych, a zwłaszcza takich, których krewni przynoszą dobre jedzenie.

Poza szpitalami, po wsiach zwłaszcza, jeszcze jest gorzej. Straszne zarazy dziesiątkują ludność, głównie zaś choroby weneryczne. Jedynymi lekarzami po wsiach są znachorzy, którzy przepisują środki lekarskie niepodobne do wiary.

Takie to rzeczy dzieją się w bolszewickiej Rosji, a jednak poseł Bryl ma czelność wychwalać ten raj sowiecki, co daje dużo do myślenia. Że czyni to w interesie bolszewizmu, to pewne, a czy zadarmo, to niech sobie każdy dośpiewa.

Niepojęta bezkarność.

Marszałek Piłsudski, który sam siebie nazwał »wściekłym ryzykantem«, znowu od pewnego czasu coś »wściekle ryzykuje« i knuje.

Za główny cel swoich wściekłych istotnie ataków obrał sobie p. Piłsudski zasłużonych i wybitnych generałów z byłej armji austrjackiej, których lży w różnych pismach w sposób iście ulicznikowski, i tak ich obraża, że ci zmuszeni zostali publicznie w dziennikach przeciw temu zaprotestować, a generał Szeptycki, jeden z prawdziwych i najwięcej zasłużonych organizatorów armji polskiej, wniósł nawet prośbę o dymisję, bo, jak w liście do dzienników zaznaczył, »nie może nosić munduru, którym poniewiera pierwszy marszałek Polski«.

List generała Szeptyckiego wywarł w całym kraju przygnębiające wrażenie, stwierdził bowiem, że p. Piłsudski wnosi rozstrój w armję i lżąc publicznie zasłużonych generałów, niszczy w wojsku dyscyplinę i szacunek żołnierski dla jego przełożonych.

»Jest to, jak zaznacza »Zjednoczenie polskich Stowarzyszeń Rzeczypospolitej« w otwartem piśmie do dzienni-

ków polskich, robota gorsząca, która wywołuje trwogę w społeczeństwie, poniża nasze znaczenie wobec zagranicy, a raduje naszych wrogów. Takiemu karygodnemu stanowi rzeczy musi być kres położony, bo napaści p. Piłsudskiego godzą w najżywotniejsze interesy narodu«.

Również senatorowie »Związku ludowo-narodowego«, oraz ze stronnictwa »chrześcijańsko-narodowego«, z »chrześcijańsko demokratycznego« i z »Piasta« wnieśli 31 marca b. r. interpelację do prezesa Rady ministrów w sprawie szerzenia rozstroju w armji przez p. Piłsudkiego, i zapytują Rząd, co zamierza uczynić, aby położyć kres temu gorszącemu widowisku i ochronić godność oficerów polskich oraz ich honor osobisty przed dalszem ich poniewieraniem.

Interpelacja ta była konieczna, bo to, co teraz p. Piłsudski robi w wojsku, jest według zdania »Gazety Warszawskiej«, »rozbijaniem jedności i wewnętrznej siły armji«... Dzisiaj już nie ulega wątpliwości, że p. Piłsudski postanowił opanować armję terrorem, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przez bezczelnych i oddanych sobie ślepo ludzi.

»Ambicje p. marszałka Piłsudskiego« — pisała Rzeczpospolita« — »zaczynają wyrastać na wielkie niebezpieczeństwo państwowe. Grozi nam albo rozsadzenie armji, albo jakaś próba zamachu stanu, podjęta przez »ryzykantów« w razie jeżeli p. Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd i Sejm nie zdobędą się na energję i odwagę cywilną i nie przypomną p. marszałkowi Piłsudskiemu, że prawo Polski obowiązuje go tak samo, jak każdego obywatela, i że nie jest on półbogiem, lecz zwykłym śmiertelnikiem«.

W żadnym innym kraju — pisze »Warszawianka« (w num. 91) — rządzonym prawnie, niepodobna sobie wybrazić takiego gruntownego schowania się Rządu, gdy w kraju istnieje poruszenie sprawą, dotyczącą dotkliwie podstaw wojska.

Nasz Rząd nie widzi, nie słyszy, nie myśli, nie działa, udaje, że o niczem nie wie, a tymczasem p. Piłsudski lży generałów w oczach całego kraju i całego wojska.

Słusznie więc pyta się społeczeństwo: gdzie jest Rząd? Czemu ten Rząd nie potępi poniewierania munduru i nie przeciwdziała rozstrojowi w wojsku? Co za zimna krew!

Mamy znowu jeden dowód więcej, że Polska anarchją stoi, bo nie tylko defraudantom i złodziejom grosza publicz-

nego nic się nie dzieje, lecz Rząd ten obojętnie się też zachowuje wobec »oszczerstw« rzucanych publicznie przez p. Piłsudskiego na najwybitniejszych członków armji polskiej. Coś podobnego tylko w Polsce jest możliwe!

Idźcie z Polski precz!

I przyszli do Polski obdarci znękani,
Tropieni i szczuci jak dzikie zwierzęta,
Z zachodu i z Niemiec jak wściekłe psy gnani
Gdzie na stos ich wiodła złość ludu zacięta.
Tułacze bezdomni, bez własnej ojczyzny
Którymi za grzechy Sam Stwórca się brzydzi
Co zmienił w pustynię ich ongi kraj żyzny!
Kto taki? — To — żydzi!

I Polska jak matka ich tłumy przyjęła,
Do serca tuliła jak biedne sieroty,
I dla nich pokarmu swym dzieciom odjęła,
Co miały podówczas wiek szczęsny, wiek złoty
I mieli się dobrze przez kilka stuleci!
Że prawda to jest, dziś i ślepy to widzi!
Bo żyją jak w raju i los im wciąż świeci!
Kto taki? — To — żydzi!

Lecz Matka Ojczyzna ach! grubo zbłądziła,
Bo grzała przy sercu nie dziecko lecz — węża!
I szczęście swych dzieci tym czynem zaćmiła,
Bo przybysz wciąż szkodząc dziś prawie zwycięża!
Dziś bowiem, do syta najadłszy się chleba,
Jak szatan z niedoli jej dzieci już szydzi
Dziś chce je pozbawić i chleba i Nieba!
Kto taki? — To — żydzi!

I byli z początku pokorni jak owce,
Lecz później poczęły wyrastać im rogi!
Dziś wieść chcą lud polski na zgubne manowce
I z ziemi go wygnać na nędzny los srogi
Bo lichwą, kieliszkiem, oszustwem, niecnotą
Wròg Polskę w stan wpędził ktòrego się wstydzi,
I fałszem, podstępem wziął dolę jej złotą!
Kto taki? — To — żydzi!

— Hej! bracia Rodacy! Czyż będziem wciąż jeszcze,
Tak widząc i słysząc i — ślepi i głusi?
Czyż chcemy, by wraże zmiażdżyły nas kleszcze,
Czyż czekać będziemy aż wróg ten nas — zdusi?
Więc wszyscy dziś jeszcze dłoń sobie podajmy
Rozprawmy się z wrogiem co kraj nas ohydzi
I wszyscy dziś od tych przybłędów żądajmy:
Opuśćcie nas żydzi!

Tak! Idźcie już sobie do waszej krainy!
Skąd ongi przyszliście jak skrajni nędzarze,
Dziś — wasze jest złoto, ten bóg wasz jedyny.
Zabierzcie je z sobą! I tak was Bòg skarze.
Na złocie tem bowiem łzy ciążą Narodu,
Coście go krzywdzili, a łzy te Bóg widzi!
Więc idźcie już ludzie z kamienia i z lodu!
Idźcie z Polski żydzi! —

Ks. Józef Janiszewski.

Rozmaitości.

Od wydawnictwa. I ten (4) numer »Nowej Zorzy« wysyłamy później, niż się należy. Również i następny (5) numer otrzymają Szan. Czytelnicy nie 1-go, lecz około 15 go maja.

Ciężkie warunki, w jakich pracujemy i brak wszelkiej

pomocy materjalnej wielce nam utrudniają pracę, więc prosimy nie dziwić się, że opóźniamy się z wysyłką pisma.

Niedorzeczna ustawa. Senator Stecki wykazał w jednym z dzienników warszawskich, całą niedorzeczność uchwalonej przez Sejm reformy rolnej! I trzeba mu przyznać zupełną rację.

Senator Stecki pisze, iż przy parcelacji dworów co roku około 5 tysięcy rodzin służby folwarcznej straci chleb i pójdzie na dziady.

Na wyposażenie bowiem jednej rodziny fornalskiej, aby ta mogła się zagospodarować na kupionym z parcelacji gruncie, potrzeba 8 do 9 tysięcy złotych, czyli na 4 tysiące rodzin przeszło 32 miljony złotych. A że Ministerstwo posiada tylko 5 miljonów złotych na te zasiłki, więc otrzyma je tylko mała cząstka czyli 13 procent, a 87 procent rodzin pozostanie bez chleba i czeka ich wielka nędza. Takie to są skutki ustaw demagogicznych i nieprzemyślanych!

Komuniści przy robocie. W kilku już miastach polskich, a mianowicie w Kaliszu, w Stryju, Lublinie, wybuchły rozruchy bezrobotnych, w których jednak było mniej bezrobotnych a więcej agitatorów bolszewickich, płatnych przez sowiety rosyjskie.

Jak zwykle bywa w takich rozruchach, nie obeszło się bez rozlewu krwi, bo tłum podburzony przez agitatorów napadał na magistraty i na policję, która w obronie swego życia i ładu społecznego musiała użyć broni. Było więc kilku zabitych i wielu rannych.

Bolszewicy uwzięli się na Polskę i koniecznie chcą w niej wywołać zamieszanie i rewolucję, by nas jak najprędzej oddać pod panowanie żydów.

Dobrym katolikiem był śp. Reymont, sławny pisarz polski, autor »Chłopów«, który zmarł w grudniu roku zeszłego. W liście do pewnego Francuza, swego przyjaciela tak pisał w styczniu 1925 r.: »Tak, mówię to otwarcie, jestem wierzącym katolikiem. Nie kryję się z tem. Czasy, które przeżywamy zasmucają mnie i boję się gorszych, ale nadzieja moja w tem, że ich może nie doczekam«.

Praca w świetle Wiary.

Modlitwa i praca należą do naturalnych obowiązków człowieka. Modlitwa zamyka w sobie wszystkie obowiązki czci Boga, do której człowiek stworzony został, a do pracy wezwał nas Bóg, kiedy powiedział: »w pocie czoła twojego chleb twój jeść będziesz«.

Bóg skazał człowieka na pracę, a że Pan Bòg jest najwyższym na ziemi pracodawcą, dlatego praca nie może mieć w sobie niczego upokarzającego i poniżającego. Przeciwnie, odkąd Syn Boży, przyszedłszy na ziemię, pracował tu jako cieśla, jako rzemieślnik w warsztacie swego Opiekuna, odtąd praca jest zaszczytem dla chrześcijanina, bo go zrobiła towarzyszem Syna Bożego.

Praca jednak powinna z Wiary wychodzić i na Wierze się opierać, bo z Wiary tylko i przez zasługi Jezusa Chrystusa spływa na nią błogosławieństwo i uświęcenie. Więc widzimy w historji, że dopóki ludzkość trzymała się złotego upomnienia Kościoła: »Mòdl się i pracuj« i pracę z modlitwą łączyła, była szczęśliwa i mogła w spokoju spożywać owoce swojej pracy.

Dzisiaj, niestety, inaczej się dzieje. Świat odstąpił od powyżej wspomnianej zasady: »módl się i pracuj«, odciął od pracy modlitwę, i robotnika bez modlitwy zamienił w niewolnika, którego już praca ani nie cieszy, ani nie zadowala. Odkąd robotnik odstąpił Chrystusa i dał posłuch Jego wrogom, praca stała się dlań ciężkim kamieniem pod którym nie ma wytchnienia.

»Panie, przez całą noc pracując, niceśmy nie ułowili«, mòwił raz Piotr święty do Chrystusa Pana, kiedy ten mu sieci do morza zarzucić kazał. Nic Apostołowie nie ułowili, bo nie było przy nich Chrystusa Pana, a gdy ten się zja-

wił, w Jego obecności tyle ryb nałowili, że się aż sieci im rwały.

I dziś ludzie wiele i nieraz bardzo ciężko pracują, ale, niestety, wśród ciemnej nocy, bo bez Wiary i bez modlitwy, i dlatego chociaż im praca daje nieraz materjalne wysokie wynagrodzenie, nie czują jednak zadowolenia w pracy i Pan Bóg im nie błogosławi.

Tylko Wiara i modlitwa przy pracy mogą wśród mozołów pracy ciężkość jej osłodzić, a gdzie Wiary niema, tam odpadają wszystkie łaski z Odkupienia płynące i praca staje się nieznośnym ciężarem.

Z upadkiem Wiary ustąpiła cześć dla pracy, wygasło zamiłowanie pracy i ludzie zapomnieli, że praca nie jest ciężarem, lecz obowiązkiem.

I dlatego dziś jedni przed pracą uciekają, inni narzekają na pracę, a najwięcej jest takich, którzy pracę, jak się to mówi spychają, czyli pracują niedbale, ot, tak, aby się jej pozbyć jak najrychlej, wziąć jednak za nią jak największą zapłatę!

Pracę zohydzili robotnikowi socjaliści w tym celu, aby go rozgoryczyć, unieszczęśliwić i mieć z niego narzędzie do swej niecnej roboty.

Ponieważ praca bez Wiary jest nie obowiązkiem, lecz ciężarem dla robotnika, więc wypływa z tego, że tylko powrót do Wiary, do Kościoła, może mu pracę osłodzić i całe życie lżejszem i przyjemniejszem uczynić.

Gołąbek.

Opowieść z prawdziwego zdarzenia. — W skróceniu z pism A. E. Odyńca.

I.

Mamy opowiedzieć zdarzenie, które stwierdza tę najsłodszą niebiańską pociechę serca, że Bóg żywy, wszędzie obecny, widzi wszystko, rządzi wszystkiem, i nigdy nie opuści nikogo, kto w Jego Opatrzność wiarę, a w miłosierdzie zaufanie położy.

Lat temu przeszło może sto, w jednem z powiatowych miasteczek w dawnem województwie mińskiem, w tamecznym klasztorze OO. Bernardynów, mieszkał pan O... stary kawaler, członek możnej i znakomitej rodziny.

Świat i towarzystwo tych, których niegdyś był ozdobą, obmierzły mu tak, że porzucił je i osiadł najpierw w swej dziedzicznej wsi, a gdy i tu nudzić się mu poczęło, zrzekł się na rzecz braci ziemskiego swego majątku, zawarowawszy sobie tylko pewną coroczną sumę, jako dożywocie i przeniósł się na stały pobyt do klasztoru.

Nie uczynił tego bynajmniej z pobożności, ale, jak sam powiadał, z dwóch przyczyn, że mieszkając za furtą był uwolniony od odwiedzin i widoku kobiet, do których jako stary kawaler, czuł urazę, chociaż był ich do niedawna ulubieńcem, a powtóre i dlatego, że na świecie wszyscy od niego stronili i nie miał na kim ostrzyć swego złośliwego dowcipu, w klasztorze zaś dowcipem tym dokuczał niewinnym braciszkom, których codziennie na korytarzach lub w ogrodzie spotykał.

Nieszczęśliwe te ofiary nie wiedząc co odpowiedzieć, unikały, jak mogły zgryźliwego, dokuczliwego i niemiłego sąsiada.

Niekiedy jednak obrońcą i mścicielem ich bywał brat-kwestarz, bywalec i kpiarz z profesji, którego rubaszna otwartość zbijała nieraz z tropu pana O...

To też pan O... w wesołem tylko usposobieniu zwykł był odwiedzać nieulęknionego swego przeciwnika, aby go do szermierki na żarty wyzywać

Drugą osobą, rozrywającą najczęściej samotność pana O... był młody miejscowy aptekarz, mający swoją aptekę w tychże murach klasztornych na dole. Był to człowiek zacny i śmiały, szczęśliwy w domowem pożyciu, ale nieszczęśliwy w swym zawodzie, bo ciągle trapiony kłopotami pieniężnymi.

Wyszedłszy bowiem z uniwersytetu, założył aptekę za pożyczane pieniądze, pojął żonę młodą, piękną, wykształconą, ale równie jak on sam, ubogą osobę, i po kilku latach pożycia, będąc ojcem trojga nadobnych dziatek, nie tylko nie mógł zaspokoić dawnych swych wierzycieli, lecz przeciwnie na utrzymanie rodziny dawne długi powiększyć musiał.

Pan O... umiał ocenić oświecony jego umysł i szlachetny charakter, chociaż nieraz i jemu swymi złośliwymi żartami dokuczał.

Ale z drugiej strony, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że świadom trudnych okoliczności sąsiada, nieraz mu przychodził z pomocą, nie czekając, ażeby o nią sam prosił i nie nadużywając nigdy praw wdzięczności.

Nawzajem też światły aptekarz był użyteczną pomocą panu O.. w rozmaitych jego interesach, jakie mu jeszcze na świecie do załatwienia zostały, jużto wyręczając go w pisaniu listów, czego pan O... nie znosił, już to spełniając ochoczo i trafnie dane mu polecenia. Do rzędu tych ostatnich należało i odbieranie z poczty posyłanych panu O... od krewnych pieniędzy.

Otóż pewnego razu przysłano panu O... tysiąc rubli w złocie i srebrze. Aptekarz odebrał je z poczty, a że właśnie w tym czasie naciskali nań wierzyciele i grozili zlicytowaniem apteki, więc choć czuł nieprzeparty wstręt do proszenia przyjaciela o wsparcie, ujrzał się zmuszonym koniecznością uciec się do tego kroku, jako do jedynego i ostatniego środka, ażeby żonę i dzieci uratować od grożącej nędzy.

Nie miał on wprawdzie prosić o dar, tylko o pożyczkę, ale wiedział, niestety, że nie będzie mógł rychło jej spłacić, a nadewszystko obawiał się tego, aby go pan O... nie posądził, iż nadużywa jego dobroci.

Przez kilka dni po odebraniu rzeczonych pieniędzy, myślami temi miotany, zmienił się znacznie i na twarzy i na humorze, tak, że to wszyscy domowi i znajomi zauważyli.

Cóż dopiero, gdy przyszło do stanowczej chwili, gdy trzeba było iść prosić i uniżyć się nietyle może przed starszym latami przyjacielem i dobroczyńcą, ale więcej przed sobą samym, przed ideałem swego życia, dotąd niczem brzydkiem nieskalanego.

Wiedział i czuł, że będzie musiał mówić wprost, otwarcie i nie kończąc zmierzać do celu. Potrzebował dłuższej, sam na sam rozmowy, więc wybrał na to chwilę wieczorną, w której pan O... zwykle bywał u siebie sam jeden.

Widziano więc aptekarza, jak po dwakroć wchodził i schodził ze schodów, jak stał już pode drzwiami i wrócił.

Wszedł nakoniec i ku największemu swemu zmartwieniu znalazł tu gościa braciszka-kwestarza, który w najlepszym na świecie humorze wysilał się, aby się nie dać pokonać panu O... gdy ten szermując tą bronią ze wszech stron nacierał na niego.

Łatwo pojąć jak strapionemu aptekarzowi rozmowa tego rodzaju musiała być wstrętną i niemiłą, więc choć się silił na przymusowe uśmiechy i grzeczność, prawdziwe jego usposobienie nie uszło baczności złośliwych i ożywionych towarzyszów, tak, że obaj nakoniec połączonemi siłami zwrócili się przeciwko niemu, brat-kwestarz usiłując mu dowieść, że musi mieć nieczyste sumienie, a pan O... przypisując to zgryzotom ze sprzeniewierzenia się żony, lub żonie.

Żarty tego rodzaju zasępiły tembardziej humor aptekarza. Wyszedł więc zostawiwszy kwestarza, z zamiarem przyjścia nazajutrz, aby panu O... swą tajemnicę, a raczej swe kłopoty wyjawić.

Gdy atoli serce niespokojne a umysł wzburzony, niełatwo sen klei powieki. Doznawał tego i aptekarz i broniąc się przed własnemi swemi myślami, wziął pierwszą lepszą książkę i czytał, a trwało to tak długo, że gdy już w mieście wszystkie światła pogasły, stróże nocni widzieli jeszcze światło wydobywające się przez okiennice okien mieszkania aptekarza.

Nazajutrz ledwo dzień świtać zaczął był on już ubrany i poszedł wprost do sąsiada, który zwykle budził się wcześnie.

Chłopiec klasztorny widział, jak stał długo na korytarzu, jakgdyby się namyślał, czy ma wejść na schody prowadzące do mieszkania pana O...

Wszedł nakoniec i stanął przed drzwiami. Zdziwiło go zaraz mocno, że znalazł drzwi tylko przymknięte, ale przypisał to w myśli kwestarzowi, który musiał wyjść dość późno, kiedy usługujący panu O... sługa klasztorny przedtem udał się na spoczynek

Jasno było w celi, którą zamieszkiwał pan O... ale cisza świadczyła, że gospodarz jej jeszcze w drugiej izbie spoczywał. Aptekarz lekko na palcach zbliżył się ku drzwiom do niej wiodącym i zajrzał do środka. I oto, któż zdoła opisać jego przerażenie!

Pan O... leżał nieżywy. Pan O... był zamordowany. Potargana pościel i położenie w jednej chwili przekonało go o tem.

Zamiast jednak uwiadomić innych o tym ohydnym czynie, jakby to rozum każdemu zrobić doradzał, przejęła go jakaś dziwna, nieusprawiedliwiona obawa, aby nań podejrzenie nie padło a oto właśnie to zaniedbanie uwiadomienia o zbrodni, podejrzenie na niego ściągnęło.

Są rzeczy i uczucia, których wytłumaczyć nie można — i człowiek nieraz sobie sam z nich sprawy zdać nie może. Dość, że zamiast dać znać w klasztorze o tem, co w celi pana O... zobaczył, zamiast udać się prosto do władz policyjnych, aptekarz wybiegł jak obłąkany z celi zabitego i nie wstępując do domu, biegł wprost ulicą, nie wiedząc dokąd i po co?

A gdy się po jakimś czasie opamiętał i zdążał ku domowi, już morderstwo było wiadome, już opowiadano sobie głośno i na cicho o aptekarzu, przeciw któremu przemawiały niektóre okoliczności, więc tłum zebrany przed klasztorem, gdzie była apteka, przyjął go nieżyczliwem szemraniem, a naczelnik policji oświadczył mu, iż jest aresztowany.

Wszystkie pozory były przeciw niemu — a nie było świadka, którýby był za nim. Nieszczęśliwa żona widząc co się stało, oniemiała na chwilę z rozpaczy, ale wnet uspokoiła się, wierząc silnie w niewinność swego męża.

Wierzyła, że jest jeden świadek, bez którego woli liść z drzewa, ptaszek z dachu i włos z głowy ludzkiej nie spadnie i który potrafi żywioły i nierozumne zwierzęta uczynić narzędziem swej woli, aby mający uszy ku słyszeniu, a oczy ku widzeniu, wielbili Imię Jego.

Tego świadka, Pana w niebiesiech wzywała żona aptekarza, uprosiwszy swego spowiednika, aby na intencję wykrycia niewinności jej męża odprawił nazajutrz Mszę świętą, której ona z trojgiem swych dzieci, leżąc krzyżem słuchała

Dokończenie w następnym numerze.

Wpływ matki.

Nie potrzeba dowodzić, bo o tem każdy z nas wie, jak wielki i stanowczy wpływ na wychowanie dziecka wywiera matka. Jeżeli zaś nie wywiera, to już z pewnością jest to albo jej wina, albo co nieraz się trafia — wina męża słabego, bez zasad lub też gorszyciela; niekiedy to wina otoczenia i złego wpływu zepsutych kolegów albo koleżanek szkolnych.

Dowody tego mamy wciąż przed oczami, ale oprócz tego jako niezbity a wiekuisty dowód tej życiowej prawdy, służy nam i historja całej ludzkości. Przytoczymy tutaj dla stwierdzenia tego bodaj słów kilka.

Znakomity uczony, Randolf, zwykł był mawiać: »Co do mnie, to nieomylnie byłbym bezbożnikiem, gdybym sobie nie pamiętał mimowoli jak to moja droga matka w dziecięcych mych latach klękała ze mną do modlitwy i składając me drobne rączęta w swych dłoniach, uczyła modlić się do Boga i wymawiać nabożnie Najśw. Imię »Jezus«.

Do Adamsa, słynnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, powiedział raz pan jeden: »Teraz już wiem, w jaki to sposób zostałeś, Panie Prezydencie, tem, czem jesteś«.

— No, w jakiż? — zapytał prezydent. — Powiem Panu. Oto czytałem listy, jakie ś. p. matka Pańska pisywała do Pana w młodych latach. To mi wystarcza.

Wiemy także, iż matka wielkiego Waszyngtona była matką wzorową i wychowywała syna starannie, ucząc go zwłaszcza pobożności i strzeżenia się kłamstwa. Kiedy jej doniesiono w sędziwych już latach, że jej Jerzy został pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych, odrzekła spokojnie:

— Ano, bo mój Jerzy był zawsze dobrym synem.

Jednego wieczora siedziała pewna matka na progu domowym i rozmawiała ze swym synkiem o Boskim Zbawicielu, a łzy jak perły spadały z jej oczu na jasną główkę dziecięcia.

Minęły lata od tej chwili... Nie było już na ziemi tej przezacnej matki, ale z tej dzieciny był wielki sługa boży, kapłan — misjonarz. I oto z jego to ust słyszano raz z ambony te słowa:

— Łzom i modlitwom mej świętej matki zawdzięczam to, czem jestem. One mnie zrobiły misjonarzem.



Świat za lat tysiąc.

Angielski technik i profesor A. K. Low. znany ze swych wynalazków, wydał tymi czasy książkę, w której próbuje opisać stan świata za lat tysiąc, a to na podstawie obecnych zdobyczy techniki, przewidując ich olbrzymi rozwój w przyszłości. Widoki te są zdumiewające ale i nieprawdopodobne.

Jeżeli więc wierzyć można, to potomkowie nasi będą potrzebowali tak mało snu, że normalnie wystarczy im sen trzech nocy na tydzień. Śniadanie będą wyrzucały potężne rurociągi mieszkańcom miast na stół o której godzinie zechcą.

Zapomocą »radio« i przyrządów optycznych kupcy i przemysłowcy załatwiać będą sprawy swoje siedząc przy biurku. Przyjaciele sportów, jak piłki nożnej i innych zabaw i ćwiczeń cielesnych, będą je mogli zapomocą specjalnych kin obserwować we wszystkich częściach świata.

Wygląd ulic zmieni się zupełnie. Trzeba będzie budować specjalne ulice dla pieszych. Będą one biegły wzdłuż domów pod arkadami, pod któremi też znajdować się będą domy towarowe i sklepy. Dach nad arkadami można będzie można otwierać i zamykać za dotknięciem guzika elektrycznego i w ten sposób regulować sobie temperaturę oraz chronić się od deszczu.

Ulice otrzymają centralne ogrzewanie. Środkiem ulic będą biegły dwa pasy bez końca, zapomocą których będą się ludzie posuwać bez używania nóg.

Na częściach bocznych ulic będą kursowały samochody, tak, jak dzisiaj, jednakże z popędem motorów elektrycznych. Prądu będą im dostarczały olbrzymie elektrownie nie na przewodach, lecz przez powietrze. Jeżdżenie wszelkimi środkami jazdy będzie tak tanie, że chodzenie wyjdzie z mody.

Prawdopodobnie zaczną też zanikać kończyny dolne u człowieka, tj. nogi, czemu będzie się starał człowiek przeciwdziałać rozwojem sportów, o jakich dziś nie marzy żaden zapalony sportowiec.

Nie wiele jednak zmieni się fizjognomia i konstytucja cielesna człowieka. Ludzie z roku 2950 mało się będą różnili od nas, może mniej, niż my się różnimy od przodków naszych z epoki kamiennej. Takie są przewidywania profesora Lowa.

TO I OWO.

Z olbrzymiego miasta.

Władze londyńskie wydały książkę o 500 stronicach druku, w której znajdują się niektóre ciekawie liczby majątku, życia i ruchu w stolicy Anglji.

Według tych obliczeń gospodarka Londynu kosztuje rocznie 300 miljonów dolarów. Wartość nieruchomości londyńskich wynosi również 300 miljonów dolarów. Długi Londynu wynoszą 600 milj. dolarów.

W Londynie rodzi się dziecko co każde 3 minuty; małżeństw zawiera się w roku 39 tysięcy. Ulice Londynu mają 2 tysiące 200 mil angielskich. Londyn posiada wreszcie 5 tysięcy 500 restauracyj — po jednej na każde 800 mieszkańców.

Listonosze na szczudłach.

W niektórych zapadłych kątach Danji dziś jeszcze spotkać można listonoszów na szczudłach. Ten dziwny, jakby przedpotopowy, zabytek ma swe usprawiedliwienie w wyjątkowych warunkach miejscowych. Mianowicie na północy od Falsjer leżą 2 małe wysepki: Bogo i Faro, pomiędzy któremi przepływa pasmo wody, szerokości 300 metrów. Jeżeli woda jest wysoka, to komunikacja pocztowa odbywa się na łodziach, ale bardzo często woda opada tak nisko, że łódź kursować nie może, a wówczas listonosze używają tam szczudeł. Ponieważ Faro posiada tylko 3 dwory, więc zarząd pocztowy nie kwapi się do zaprowadzenia bardziej nowoczesnej komunikacji.

Miasto, którem rządzą same kobiety.

W Stanie Arkansas, w północnej Ameryce, znajduje się miasto Winslow, które jest chyba jedynem miastem na świecie zarządzanem wyłącznie przez kobiety. Burmistrzem tego miasta jest pani Maud Duncan, a radnymi są same kobiety.

Strusie wymierają.

Moda noszenia przez kobiety strusich piór na kapeluszach i na sukniach spowodowała, że wskutek polowania

na te ptaki afrykańskie liczba ich zeszła z miljona sztuk na 120 tysięcy. Jeżeli moda nie zmieni się wkrótce, to można się spodziewać, że strusie wnet staną się rzadkością.

Niebezpieczny owad.

Mucha domowa, według obliczeń profesora Howarda, może na każdej łapce przenieść 65 miljonów mikrobów, czyli zarazków różnych choròb. Ta sama mucha, która urodzi się 15 czerwca i żyje do 15 września, rozmnoży się w 9 pokoleniach do 336 tryljonòw potomków.

Różne rady pożyteczne.

Maślanka eliksirem życia. Słynny miljoner amerykański Rockeffeler, zwany »królem naftowym« był do 58 roku życia człowiekiem nieszczęśliwym, bo chociaż posiada olbrzymi majątek, nie miał podstawy życia ludzkiego t. j. zdrowia. Był ciężko chory na żołądek, i do tego stopnia nie mógł nic jadać, że wkońcu żywił się tylko mlekiem i sucharkami. Leczyli go lekarze amerykańscy i europejscy, ale nic mu poradzić nie mogli. Uleczył go przypadek. Pewnego dnia zachciało mu się napić maślanki, poczem zauważył, że mu ona smakuje i łagodzi ból żołądka.

Odtąd zarzucił w zupełności mleko, pije tylko maślankę dodając do niej trzy razy dziennie łyżkę oliwy nicejskiej i przyszedł w zupełności do zdrowia. Obecnie liczy 85 lat życia i twierdzi, że będzie żył przynajmniej sto lat!

Plamy tłuste na podłodze dadzą się usunąć łatwo, szorując je gorącą wodą z mydłem szarem i sodą. Gdy jednak zdarzy się czasem, że się wyleje na podłogę tłuszcz wieprzowy, wołowy, barani, albo masło gorące w większej ilości lub naftę, wtedy należy rozrobić glinę na rzadkie ciasto, nałożyć nią całą plamę, zostawić aż do wyschnięcia i powtarzać to kilkakrotnie, nakoniec wyszurować ługiem mydlarskim, lub mydłem szarem smarować plamę i polewać gorącą wodą.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Odbito w drukarni „Czasu" w Krakowie ul. św. Tomasza 32.

